№ 14.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 7. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Teraz zbliża się albo raczéj rozpoczyna czas podróżowania: trzeba więc zwrócić uwagę na podróże. Dawniéj, to jest przed laty pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, przypatrywano się człowiekowi na ulicach, który świeżo wrócił z Paryża, Londynu lub Włoch; dzisiaj Europa jest już jakby jednym krajem, który można cały pozwiedzać i wskroś poznać, a to poświęcając co dwa lub trzy lata jeden miesiąc na objażdzki.

Dawniéj podróże Polaków do Francyi kosztowały niesłychane pieniądze, dzisiaj majętniejsi mogą je odbywać dla oszczędności, a ubożsi kiedy potroją swój codzienny wydatek, są w stanie korzystać z przyjemności, która dawniéj była przywilejem samych tylko bogaczy.

Względem podróży dawniéj odbywanych spierano się, czy przynosiły stratę czy korzyść dla kraju, a to dla tego, że rzeczywiście z jednéj strony naprowadzały cudze obyczaje, brzydziły rodzinną ziemię, obudzały potulność i haniebne korzenie się przed ułudnym blaskiem zachodu Europy. Panowie polscy zapominali języka, nieumieli wymawiać dóbr, z których całe trwonili dochody; rozdzielali swą miłość na wszystkie kraje, i wynarodowieni niemogli być podporą narodu. Jeżeli jednak wejrzymy głębiéj, niebyły przyczyną tego podróże, ale był powód złego pierwiastku wyniesionego z kraju pomiędzy cudzoziemców, którzy także podówczas nie odznaczali się dobrocią. Toć wiemy, że nawet encyklopedyści francuzcy, którzy z planem gotowali wielką rewolucyą francuzką, jeżeli niebrali pensyi od dworów nieprzyjaznych dla ich systematu, to korzystnie im zaprzedawali swoje biblioteki, a w skutek tych handlów posunęli się aż do zaprzedawania prawdy i sumienia. Polak, który przywiózł ze sobą do Paryża złe narowy polskie, snadno je pomnożył francuzkiemi, i nie dziw, że stał się gorszym jak ci, co nieznając obcych krajów, swoje przywary z jednego tylko domowego rozwijali pierwiastku. Kiedy okrzyk *niepozwalam* ze wszystkiemi swemi politycznemi skutkami zasycał osobiste i najszkaradniejsze widoki u nas, pod ten sam czas rządzącemi bóstwami Francyi były kochanki królów: kobiety oczywiście popsute i złego życia. One kierowały literaturą, obsadzały najważniejsze urzędy, załatwiały sprawy polityczne.

Cóż mógł wydać dla ludzkości charakter, który był mięszaniną staropolskiego niepozwalam z galanteryą francuzką? Ale że to na świecie, a szczególniéj w życiu ludzkiém, nigdy niemasz reguły bez wyjątku: trzeba znowu powiedzieć, że miłość ojczyzny dopiero za jéj granicami czuć się daje. Jeżelibyśmy się zapytali, kiedy pierwszy raz powstała, to niewątpliwiebyśmy wykryli, że wtedy, kiedy Polaków może nawet jeszcze w naród niesformowanych, uprowadzano w dalekie obce kraje, jako niewolników.

Już Mieszko syn Bolesława Wielkiego, podług świadectwa spółczesnych historyków, odpowiedział posłom cesarskim, że ma obowiązek bronić ojczyznę (*patria*). Odtąd polska miłość ojczyzny zasilała się przez tych, którzy jako jeńcy długo byli trzymani u Tatarów, a potém u Turków. W XVIII. wieku wzmogła się niesłychanie miłość ojczyzny pomiędzy młodzieżą, którą Stanisław Leszczyński wychowywał we Francyi i niemasz wątpliwości, że jak podróże

zagraniczne złych ludzi psuły do ostatniego, tak w dobrych podnosiły ducha. Świadczą owcześni historycy, że lepsze obchodzenie się z ludźmi naprzód zawitało po tych dobrach, których panowie znali zachód Europy. Więc nawet w złych i najgorszych czasach, obok szkodliwości podróży, wynikały dobre skutki, a choć tych skutków organami mało było ludzi, przecież za to w niesłychanie ważnéj sprawie narodowéj. Dla tego i przeciw podróżom dawniejszym niemożna tak bardzo powstawać.

Dziś zmieniły się we wszystkiém stosunki i Polacy są lepsi i kraje cudzoziemskie niesłychanie się poprawiły. Paryż niejest stekiem oszustów, rzezimieszków, zepsutych kobiet, ale stolicą cywilizacyi, umiejętności, moralności, mężów mających najszlachetniejsze uczucia dla ludzkości. Po wszystkich krajach charaktery narodowe przyodziewają się w szlachetność i zdaje się, że nadeszła epoka, w któréj narody dążą na wyścigi do dobrego. Jeżeli tu i owdzie złe zakorzenione stoi jeszcze silnie, to też kraje, w których to złe panuje, nie nęcą do siebie nikogo. Ztąd dzisiaj kto tylko może, ten podróżować powinien. Łatwość jest niezmierna. Wzywamy tylko zdrowych młodych ludzi, aby u wód czasu na niczém niespędzali, żeby się bez potrzeby na ochotników szpitalnych niezapisywali; ale niech kraje i morza przebiegają, a co dobrego spotkają, do nas przywożą; korzystne stosunki wszędzie zawięzują i imie nasze do takiéj świetności przez nieszczęścia wysoko podniesione, jeszcze wyżéj podnoszą.

Gra w Szachy.

POWIEŚĆ WŁOSKA Z SZESNASTEGO WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz o zwyczajnéj godzinie, ale z większą ciekawością, weszła Kamilla do pokoju pana. Zastała go na krześle, jakby snem ujętego. Ale za zbliżeniem się, gdy ujęła jego rękę, była zimna i martwa i wyraz śmierci na całém malował się obliczu. Wszedł także Anastazjo, zrozumiał od razu siostrę i zaczęli rzewnie płakać nad umarłym. Chociaż więcéj dla niego czuli bojaźni, niż litości, przywykli wszakże do niego, a to co im dobrego uczynił, stanęło im żywo przed oczyma. Na nowo uczuli osierocenie swoje, i widzieli, że im nowy krok w życie uczynić wypadnie. Myśl ta pocieszała ich poniekąd.

Anastazjo pobiegł do miasta, doniósł sądowi o śmierci lekarza, i zaraz nazajutrz zjechała kommissya. Stósownie do woli umarłego, zostawili go w krześle, na którém umarł i wnieśli do sklepienia, gdzie było jego laboratorium. Z hukiem zatrzasły się drzwi, które sługa sądowy na klucz zamknął i takowy z rozporządzenia testatora Kamilli do rąk oddał. Zabrano wszystkie księgi i narzędzia, które zmarły instytutom publicznym zapisał, a jego wychowańcom zapowiedziano, aby się także w przeciągu trzech dni wyprowadzili.

Młodzi niedoświadczeni nieumiejący dotąd o sobie radzić, niewiedzieli gdzie się podziać: Anastazjo, byłby rad w świat się udał, ale mu żal było siostrę opuścić. Wyrwał ich z tego kłopotu Geronimo, ofiarując im ubogą chatę rodziców swoich. Tam więc przenieśli się oboje z tém wszystkiém, co im pan zmarły na własność przekazał. Dom zaś w którym dotąd mięszkali, stał pustkami, zamieniony w grobowiec, od nikogo już odtąd nienawiedzany. Rodzice Geronima, od czasu jak się Kamilla wprowadziła do ich domu, nawykli uważać ją za przyszłą swoją córkę, a okazywali jéj wysoki szacunek, bo stó cechinów i rzeczy które wniosła w ich dom, jako spadek po lekarzu, wystawiały ją w oczach ubogich rybaków, jako bogatą pannę. Nie stawiali więc oporu w zaślubieniu się kochanków i w kilka tygodni odbyło się wesele. Anastazjo widział się teraz wolnym od obowiązków względem siostry, które w jego miejscu przyjął mąż nad żoną i żadne prośby już go wstrzymać nie mogły, by dłużéj zostawał na miejscu, które jego żywéj wyobraźni, gorącéj żądzy widzenia świata tak mało odpowiadało. Zdawało mu się, że summa, sto cechinów, którą mu zmarły opiekun jego przeznaczył niewyczerpaném jest bogactwem, że za nią całe zwiedzić może Włochy i napatrzeć się różnym światom i różnym ludziom. Kiedy sobie tę przyszłą podróż swoją w najpiękniejszych malował kolorach, karciło go, że wola jego spadkodawcy wskazywała mu wprzody Palermo: gdzie się miał udać do opata Poeci, dla wykształcenia się w naukach matematycznych, a następnie dawania w nich lekcyi. Nieprzypadał projekt do jego gustu. Nudném mu się wydawało życie wśród książek spędzone: nudniejszym jeszcze wyobrażał sobie przyszłego swego nauczyciela. A gdy obok tego stawiał obrazy tego wszystkiego, co go czekało w świetnycch stolicach włoskich, postanowił nie słuchać rady swego dobroczyńcy i użyć lepiéj młodych lat swoich i stu cechinów, które majątek jego składały.

Ułożył więc plan udania się do Syrakuzy i stamtąd do Neapolu; tam chciał oddać się życiu pełnemu roskoszy i uciechy.

Nietrudne mu było pożegnanie z siostrą, choć ta się we łzach rozpływała, albowiem w duchu widział się już to na forum Romanorum, to na placu Świętego Marka w Wenecyi. Siostra prosiła go, ażeby od niéj coś przyjął na pamiątkę i ofiarowała mu srebrny pięknéj roboty puhar, z którego lekarz zwykł był zawsze pijać. Anastazemu nie podobał się ten wybór, i sam jéj podał myśl, aby mu raczej darowała szachy, któremi zwykł był grać z nieboszczykiem, i który go różnych kombinacyi szachowych był nauczył.

Siostra pobiegła po szachownicę i szachy dość misternéj roboty, znajdujące się w puzderku czerwonym aksamitem wybitém. Szachownica była z hebanu i z perłowéj macicy w pięknéj oprawie; z tego samego materyału były dwa rzędy figur. Oglądając je Anastazy, zajrzał do szufladki, wyciągnął z niéj papier znacznémi liczbami okryty: że to było pismo jego dobroczyńcy i opiekuna, włożył je tam nazad, zachowując jako szanowną dla siebie pamiątkę. Wreszcie pożegnał siostrę. Z tłómoczkiem zarzuconym na plecy, lekkiém sercem puścił się w drogę, kiedy siostra jego odprowadziwszy go aż do stóp góry, długo jeszcze ztamtąd z żalem i łzami poglądała za nim, aż jéj między skałami zupełnie znikł z oczu.

Przybywszy do Syrakuzy, zrzucił z siebie rybackie odzienie, a przysposobił sobie strój kawalerski, z ciemnego aksamitu, czapki z piórem, i szpady u boku; — niechcąc w Neapolu uchodzić za biednego rybaka, ale ufny w swoje cechiny, od razu wystąpić na wielkim świecie. Jakoż, gdy zbliżył się w nowym stroju swoim do właściciela trabakoli, która właśnie z portu odpływała, po raz pierwszy usłyszał pełno tych grzeczności, którémi ludzie wyższym od siebie, często z upodleniem własném, szafują, ale za to sowicie za nie każą sobie zapłacić. I nasz Anastazjo zapłacił za przewóz do Neapolu, dwa razy tyle, ileby był jako prosty rybak zapłacił.

Podróż odbyła się szybko i szczęśliwie. Serce biło silnie w piersi młodzieńca, gdy przy wschodzie słońca ujrzał wspaniały widok morza, gdy przed oczyma jego, jakby z pod fal morskich, wydobywały się po sobie wyspy Capri, Tschia, Procida; gdy wreszcie rozwinął się pyszny widok Neapolu, i statek do portu zawinął, pełnego statków, okrętów, ludzi i życia. Nie mógł się dosyć napatrzeć, nacieszyć wszystkiemu, i pełnémi piersiami chłonął w siebie to wszystko, co mu ciekawość, i żądza roskoszy nastręczała.

Już była sumka jego o jednę trzecią się zmniejszyła, i po raz pierwszy przekonał się o jéj szczupłości. Poznał, że złoto na świecie kluczem do wszystkiego, i posądził o dziwactwo zmarłego opiekuna, który sztukę robienia złota, nieszczęściem nazwał, i zamiast jego samego nią obdarzyć, sto mu tylko wyznaczył cechinów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd dzieł George Sand.

Pan Michał Grabowski zasiadłszy od kilku lat areopag krytyki, nie tylko polskiéj, lecz nawet europejskiéj, upodobał sobie nazwać teraźniejsze powieścio-pisarstwo fancuzkie literaturą szaloną: kiedy literatura nie może być czém innem, jak odbiciem myśli i uczuć leżących w czasie, jak łamaniem się z tém, co ludzkość obecnie najbardziéj przyciska i wstrzymuje jéj bieg ku obszerniejszemu zdobyciu wolności ducha i materyi, a ztąd i wolności politycznéj. Autorowie, którzy tak silnie umysły i serca umieją zagarnąć ku sobie, mogąż to robić jakiém kuglarstwem pisarskiém? W cóżby się wtedy zamieniła prawda płynąca z ducha bożego w ducha ludzkości? Jako wierzący w nieomylność Boga, odpychamy to bluźnierstwo wyrzeczone przez pana Grabowskiego i mamy przekonanie: że ludzie, których duch rozpromieniony prawdą — serce nie skamieniałe w własnéj piersi, ale poczuwające się w każdéj istocie równéj sobie: że to są ci, których Opatrzność wybrała na rozkrzewiaczy myśli postępowych. Lecz tacy nie są zdolni teraz składać słodkomdławych idei, kiedy im w sercu gorzko, w myśli ponuro, ale muszą wyprowadzać na jaw te brudy społeczeństwa (jak to powyższy krytyk nazwał), to jest: odsłaniać najdotkliwsze rany, wykazywać zbrodnie w całéj ich odrażającéj prawdzie, zbrodnie dzieci sponiewieranego człowieczeństwa, i tak skrwawione prowadzić przed sąd posłuszeństwa, aby ujrzało: że to złe nie płynie z natury ducha człowieczego, który jest na podobieństwo Boga, lecz z fałszywego składu świata ludzkiego.

Naród francuzki miał już chwile, w których zaczerpnął całą piersią wolności człowieka, bo przez wszystkie szczeble społeczeństwa powstał, zbudzony nutą téj pieśni. Choć to była wolność dopiero w powiciu, wolność czysto idealna, nie prowadząca do równości ducha i materyi, ale spoczywająca li na równości człowieka w obliczu prawa, napełniła jednak wszystkie serca taką radością, że myśl wzięto już za rzeczywistość, i ten ideał tak ich uszczęśliwiał, jak gdyby się już stał czynem. Lecz naród, przed którego duchem raz taka gwiazda zaświeciła, wszystko

wytęża, aby ją ująć i wcielić w życie, a istoty szlachetne, dla których dobro osobiste nie wystarcza, są jakby jego przewodnikami na tym gościńcu prawdy. Francya więc dzisiaj najżywiéj opowiada i ukazuje rany zadawane swoim członkom, a tém opowiadaniem i ukazywaniem budzi zapał do czynu, i przewracając cegiełkę po cegiełce tego spruchniałego gmachu, tak go osłabia, że nakoniec runąć musi, odsłaniając nowe słońce, które nad czołami ludzkości szczęściem zabłyśnie. W całéj więc literaturze tego narodu, w tém słowie żyjącego pokolenia, którém przemawia do przyszłych, wieje ta myśl, w powieści, a najwidoczniéj wybija w tajemnicach Paryża Eugieniego Sue, i w niektórych pracach George Sand. W nich to przeglądają się niedole i myśl wieku, jakby w zwierciadle. Lecz do zrozumienia cierpień społeczeństwa, do ogarnięcia go całą miłością, potrzeba gorącego uczucia serca, myśli, któraby się nie nurzała w kale egoizmu i zysku materyalnego, głębokiego poświęcenia i czystości zamiarów, na któreby przemoc ziemska nadaremnie wciskała okowy, wabiła dostatkami, piętnowała godnościami. Ale takiéj miłości, takiego zrozumienia nie możemy się spodziewać od pana Michała Grabowskiego, autora listu do hr. Struteńskiego, *) „w którym się dziwi nad nierozumem Polaków, iż swéj nowéj ojczyzny Rossyi nie pokochali całą duszą.“ Daléj „iż wychowanie młodzieży nie jest dość skutecznym środkiem, bo wchodzą do kraju zgubne pisma, które rozsiewają idee, wzmagające miłość do téj mrzonki urojonéj, która się nazywa Polską.“ Owszem zdziwiłby nas bardzo, gdyby ogarnął uczuciem cel, ku któremu koło ludzkości się toczy, kiedy we wszystkiém daje do zrozumienia, żeby je rad w biegu powstrzymał; bo myśl, na ktorą wszystkie prawie serca uderzają radośnie, chciałby zagłuszyć, zakląć jak ducha, żeby więcéj już nie wracała, wołając po wszystkich pismach: iż podziela zasady Bejły, a więc wyznaje taką samą wiarę.

Tom I. strona 20. mówi Bejła témi słowy o literaturze, tém pogrobowém dziecku Polski. „Jako zwykle chory, przed samém skonaniem jakieś dziwne okazuje zjawiska życia, które przecież biegłego lekarza płonną nadzieją nie omamią; tak i duch konającego narodu, jeszcze czas niejaki ściśnie się w umysłach kilku znakomitych mężów, aby starą synagogę ze czcią pogrzebać. Ci mężowie bez istotnych związków ze społecznością, nad którą się wznieśli nawet od niéj nie wiele miłowani, nie mniéj się od niéj odosobniają; z siebie samych snują tę przędzę intelektualną, któréj osnowy w społeczności znaleść nie mogą. Wybucha raptownie, jakby jakim cudem, bogata, różnobarwna literatura, literatura bez miłości dla położenia obecnego, bez nadziei w przyszłości, sięgająca jakichś dawnych podań, wszystkiego tego, co już nie jest, i odżywiająca to wszystko jakimś sztucznym żywotem. Jedném słowem, jest to dzieło pogrobowe ducha narodowego, ostatnie jego wysilenie, poczém ulotniwszy się, milczenie nastąpi, — nim wszedłszy w skład obcych mu dotąd żywiołów intelektualnych, znowu przemówi ale już językiem innym; a swój rodzimy, przybrawszy ostateczną swoją formę, w niéj się skrystalizuje, i stanie obok sanskryckiego, greckiego, celtyckiego, rzymskiego, któremi takie myśli oddawały myśli swoje społeczeństwa żywotne, a które już dziś są tylko pomnikami. Co się zaś tyczy rozkładu fizycznego, w niém także robactwo coraz obrzydliwsze toczy szczątki, opuszczone od tego boskiego ognia, który im dawał jednolitość, ruch, żywot. Tém robactwem są pokątne stowarzyszenia, chcące napróżno zatrzymać ten żywot społeczny, ulotniony z dostojnego ciała. Z początku to robatwo będzie foremniejsze, bo wylęgłe w świeższém opuszczeniu organizmu. Ale w następnych jego formacyach, ród po rodzie, coraz więcéj się każąc, dojdzie do ostatnich krańców obrzydliwości. Będą z początku Filarety, Promieniści; potém związki patryotyczne, Kosyniery, Templaryusze i t. p., których nazwiska najlepiéj wyrażają cele dążności: pierwsze nazwisko jest godłem bydlęcia, drugie posługacza żydowskiego; — już więcéj zniżyć się niemożna.....“

Tak mówi Henryk Rzewuski w „Mięszaninach Bejły“; — zaśmiał się szyderczo, splunął i obrzucił błotem to, co mamy najświętszego. A jego to postawił najwyżéj pomiędzy wszystkimi piszącymi dziś na świecie, krytyk Grabowski. Możeby nam na dowód swego twierdzenia wskazał Soplicę; — Soplicę, który jest niewątpliwie jak mówi Bejła „to dzieło pogrobowe ducha narodu, poczém ulotniwszy się milczenie nastąpi.“.....

Niezawodnie, iż przeszłość jest skarbem narodowym, lecz tym najdroższym, co przyszłość zasilić może. I napróżno woła kilku apostatów: że drzwi przybytku naszéj historyi już zapadły; te słowa nigdzie echa nie znajdą, chyba w własnych ich sercach, bo wszystkie tętna narodu uderzają silnie. Historya nasza nie jest rzeczą martwą–umarłą, ale strumieniem płynącym wśród życia narodu, niosącym treść jego. Owi zaś apostaci, są na podobieństwo synów przekupionych zyskiem, którzy przystępują do ciała matki z nożem w ręku, z powagą uczonych na czole, aby je rozbierać anatomicznie, chcąc tym fortelem zakryć swą

*) Patrz pismo Rok Nro. VIII. 1844.

zbrodnię. A choć poczuli pod dłoniami bicie jéj serca, tém spiesznéj skierowali ku téj stronie narzędzie zabójcze, i wyrzekli szyderczo: to trup i nic więcéj — trup co cuchnie zgnilizną. I nie pobledli, ręka im nawet nie zadrzała. Nic dziwnego, bo narody w chwilach swego politycznego nieszczęścia, miewają wyrodków, którzy są w zmowie z zewnętrznymi nieprzyjaciołmi, a nie mogąc rodakom wydrzeć duszy, radziby w nich śmierc wmówili. O nich to mówi profesor literatury słowiańskiéj: „ludzie co zdradzają to dla tego, iż nie są tak szlachetni, aby mogli dojrzyć ideę moralną, nie sprowadzoną do rachub materyalnych; z drugiéj strony wabiąc do siebie korzyści bliskie materyalne, za niepewną przyszłość, można mieć pewną obecność.“

Te kilka uwag nad krytykiem wołyńskim, choć się zdają nieodpowiadać założeniu artykułu, są jednak potrzebnémi aby wykazać: dla czego inną zupełnie jasnością rozświetlamy tegoczesną literaturę francuzką, a nie tą, jaką tenże krytyk od lat wielu usiłuje ją rozświecać.

Najpierw zastanówmy się w krótkości, jakie stanowisko zajmują powieści w tegoczesnéj literaturze. Widzimy, iż w ostatnich czasach liczba autorów powieści ze wszystkich piszących najliczniejsza, i że mimo wielości dzieł, jakie się produkują, zawsze niebrak czytelników. Już to najpierw niewątpliwie dla tego, iż ta forma jest najpopularniejszą, i że w nie można wprowadzać idee tysiącem odcieni ubarwione, natchnione życiem, przez wyobraźnią podane myśli, a tym sposobem jakby wcielone w ducha mass czytających, kiedy ukazane jako czyste idee, mają tylko przystęp do ludzi głębokiego myślenia.

Powieścio-pisarze są dzisiaj tém, czém dawniéj byli Wajdeloci, Trubadurowie, Minesengerowie i cały szereg wędrownych śpiewaków, bo i ci rozkrzewiali myśl leżącą w czasie, wciskając ją do dusz słuchaczy przy dźwięku muzyki, lub mową ubarwioną w promienną tęczę fantazyi. Ludzie tamtych wieków, u których młodzieńcza wyobraźnia przeważała wszystkie inne strony ducha, potrzebowali pieśni, potrzebowali czarujących obrazów, a tak spowitą prawdę łatwiéj przyjęli. Z jakim zapałem słuchali opowiadania cudów waleczności przy zdobywaniu ziemi świętéj, lub jakiego kraju w ziemi niewiernych; w jakiém zachwyceniu byli nad cnotami i wdziękami żon i kochanek walczących, tak ich znów napełniały wzgardą i odrazą, wystawiana zdrada, niewierność, a pocieszała kara na tych występnych, spadająca wprost z nieba, i przeciągająca się aż po za życie ziemskie. Ci wędrowni śpiewacy powtarzają te myśli w tysiączno barwnych pieśniach i opowiadaniach; oni podnieśli umysły słuchaczy w wyższe sfery, uszlachetniali ich serca rozprowadzaniem téj idei, że wojna, bez któréj wtedy życia pojąć nie umiano, nie ma już być dla łupu, dla korzyści materyalnych, czyli po prostu rozboju, ale w interesie myśli przewodniczącéj ludzkości, a całą myślą było wtedy rozszerzanie chrystyanizmu, bo w nim spoczywała najwyższa wolność, jaką świat był zdolen pojąć w owym czasie. I kobieta osłonięta tym urokiem nadziemskim, uszlachetniała się, wzrastała w własnéj godności, a tym sposobem podniosła się z niewoli, w któréj przedtém żyła. I uznano jéj prawa w kole rodzinném, których w czasie panowania siły fizycznéj żadnych przyznanych nie miała, jako słabsza, a więc podlejsza od mężczyzny.

Lecz druk przyszedł słowu w pomoc, a Wajdeloci nie z lutnią ale z piórem w ręku rozprowadzają myśl leżącą w czasie, i opowiadając tajemnice uczuć serc ludzkich, wystawiają te walki wewnętrzne, zawsze niby równe a jednak nowe, lub przerzucają się w przeszłość i kreślą obraz, w którym życie wszędzie przegląda — nie zastygłe, nie martwe, ale gwarne i ruchliwe. Jak dawni śpiewacy opanowali serca swoich słuchaczy, tak i teraźniejsi tych praw niestracili: wszak z nimi się radujemy, kochamy, bolejemy, nienawidzimy. Nic dziwnego, że myśli tak podawane, najpewniéj się wcielają w ducha mass czytających, boć przez wyobraźnią najsnadniéj tam wniknąć. Z tego wszystkiego widzimy, że stanowisko powieściopisarzy w dzisiajszém społeczeństwie nie jest drobném — są to Trybunowie wśród Rzeczypospolitéj literackiéj.

Jednym ze znakomitszych tych reprezentantów ludu, jest niewątpliwie George Sand. Z uczuciem gorejącém miłością prawdy, z umysłem wyższym, musiała być wplecioną w koło znaczące drogę swego czasu, bo jéj duch był za potężny, aby się oderwał od prac spółczesnych. Przystępując do jéj dzieł, nie będziemy ich rozbierać krytycznie, ale zrobimy tylko przegląd tych, które są najbardziéj wybijającemi figurami obrazu społeczeństwa, jaki nam ta autorka kreśli, i punktami sterczącemi wśród drogi literackiéj, jaką przebiegła. W pierwszém uczuciu dla prawdy i dla piękna, w pierwszym polocie młodości, każdy przynosi taki zasób do walki, iż nie masz przeciwności, o któréj-by niepomyślał, iż ją jest zdolen pokonać. Idzie więc prosto do celu, nie pytając się o żadne okoliczności, o przeszkody, które potrzeba usuwać, lub same topnieć muszą, a czując prawdę żywo w swych piersiach, ogłasza ją z tą wiarą, że wszystkich przekona. Jest to kwiat wzniosłości ducha, u którego na dnie kielicha już owoc zawiązany, który po dojrzeniu choć spokojniéj, niemniéj jednak głęboko czując prawdę, przynosi ją społeczeństwu drogami, jakie

ono mu otwiera, a nie jakie sam chciał torować. Lecz każda wyższa istota musi przez to przechodzić, bo najpowabniejszym ideałem młodości jest walka w sprawie prawdy, której krzywdę najpierwéj uczuła; ale taka walka musi być jednostronną, zamieniającą wszystkie inne krzywdy w podrzędne, kiedy te z swéj natury są odłamkami jednéj ogólnéj i płynącéj z tegoż samego źródła.

Pierwszém takiém uczuciem rozjaśnionćm myślą, jakie George Sand rzuciła światu, była zdeptana miłość między mężczyzną a kobietą, i którą ona słusznie uważała za jedyną podstawę małżeńską. Nauczona własném doświadczeniem i smutnym widokiem tylu ognisk rodzinnych, a nadewszystko przejęta niedolą kobiet, przez którą tak boleśnie sama przechodziła, widziała, że krzywdy wyrządzane życiu familijnemu silniéj je przygniatają niż mężczyzn, i osądziła: że bronienie sprawy miłości jest zarazem bronieniem sprawy kobiet. W najpierwszéj więc swéj powieści „Indianie", kreśli obraz nie rzadki na świecie, w starym Delmarze i młodéj jego żonie Indyance, wydanéj z woli ojca dla majątku za niego. On brutalny, gwałtowny, ona czuła, łagodna; stémwszystkiém miłość im nakazana, bo ślubem związani. Tu widzimy w całéj powieści, iż przed młodą duszą autorki stoi miłość sponiewierana, zaćmiona interesami bytu materyalnego — i to uczucie, pod którém życie rodzinne może tylko rozkwitać, wyparte całkiém z niego, jako marzenie, które w rzeczywistości nic nie przynosi. Widzimy tutaj, że George Sand w pierwszym spoględzie w społeczeństwo, ujrzała też tylko jednostronnie krzywdę wyrządzoną prawdzie. To samo dostrzegamy jeszcze w „Valentine", „Lélii" i „Jacques", choć już jéj widnokrąg coraz obszerniejszy, jak to zobaczemy zastanawiając się nad każdą z tych powieści.

Jak wędrowiec śród puszczy Arabii za całe szczęście pragnie źródła, przy którémby spoczął i usta spragnione odwilżył, tak i ona w Indianie szuka i pragnie miłości za całe szczęście na świecie. Jéj bohatérka rzuca się w to uczucie jak w rozhukane morze, niepyta się czy utonie, czy dopłynie do brzegu, lecz z duszą pełną miłości szuka serca, w którémby odbicie swego znaleść mogła. Rajmond pierwszy człowiek, w którym z całą wiarą zdawało jéj się, iż ujrzała odbicie swych uczuć, jest jedną z tych prawdziwych figur tak nazwanego wyższego społeczeństwa — słów płynnych rozgrzanych chwilowém wrażeniem, lecz serca zimnego jak kasta w któréj żył i po za któréj kołem niebyło świata dla niego. Rajmond bawił się nią jak cackiem, które znudzony odrzucił na końcu od siebie — a ona opromienia go całém słońcem swéj miłości, gotowa ponieść wszystko, lecz nie wyrzeka się tego najwyższego szczęścia. Kiedy jéj więc odsłonił swą prawdziwą duszę, takie ją zniechęcenie i niewiara opanowały do ludu, że jéj nikt nie rozumie, a wszyscy ranią i depcą ze wzgardą lub lekkomyślnością jéj boskie uczucia, iż postanowiła umrzeć. I taka tu tylko dusza jak Balpha, mogła znów płomień życia zatlić w rozdartém jéj sercu; a jak Bóg Izraela dla pięciu dobrych chciał grzeszne miasto zachować, bo znać wszystko dobre innych ludzi w nich ujrzał zestrzelone, i przez nich się znów miało rozświetlić, tak i ona spojrzawszy na świat przez duszę Balpha, uwierzyła, że żyć warto. Ten obraz smutno fantastyczny, zakończony jakiémś anielskiém połączeniem kochanków, bo autorka przerażona nędzotą, jaka się chroni pod paladium małżeństwa, nieśmiała swego ideału niém osłonić, i nie wyrzekła wyraźnie, czy jaka forma świata tę ich czystą miłość osłania lub nie. Niesłusznym byłby jednak zarzut, iż świętość małżeństw chce gruchotać, gdyż jeżeli ze wzgardą odpycha istoty zaślubione w interesie czystego handlu, jakże świętym i nierozerwalnym uważa związek oparty na interesie serc, na harmonii dusz, i marzy o nim jak o raju ziemskim. Mówimy, marzy, bo ileż jest ludzi, coby inaczéj nazwali małżeństwo oparte na samym interesie serc? Lecz tacy to marzyciele jak nasza autorka, świat prowadzą.

W „Walentynie", tym obrazie jeszcze gorętszego kochania, wśród uczuć tak żywo odmalowanych namiętnego i gwałtownego Benedikta, i lękliwego charakteru jego kochanki, silnego tylko miłością, już wyraźniéj autorka wypowiada małżeństwo, jako konieczność uświęcającą miłość; bo jakże oburzająca ta radość Benedikta, kiedy się dowiedział o śmierci Lansaca. Tu widzimy, że autorka dojrzała: iż ucisk gniotący życie rodzinne, płynie z przyczyn krzywiących całe społeczeństwo, a wypaczona świętość małżeństwa potrzebuje tylko sprostowania — potrzebuje ludzi. Po wypowiedzeniu miłości tak pełnéj zapału i boleści, autorka Walentiny ujrzała się samą wśród tego zimnego świata, który nadaremnie chciała rozgrzać swojém uczuciem, jak nam to z rozrzewnieniem i głębokim smutkiem opisuje w Lettres d'un Voyager. Ten stan jéj duszy utworzył dzieło najgwałtowniejsze, najwymowniéj a razem tak dziwacznie utworzył Lelią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Fryderyk Hahn i Napoleon.

Przed kilkudziesiąciu laty znajdował się w Marsylii młody oficer artyleryi, który w towarzystwie swych przyjaciół mówił: odkąd wygnaną moją rodzinę do Marsilii odprowadziłem, nieprzestaję myśleć o moim ziomku Sampietro z Basteliki. Już odwiedziłem w tutejszém mieście dom, w którym mieszkał i postanowiłem sobie smmutną jego historyę jako treść do tragedyi użyć. Słuchajcie więc: Sampietro, który się r. 1501 z ubogich urodził rodziców w miasteczku Bastelika pod Ajaccio, kochał tak bardzo Francyą, jak nienawidził Genuę. Z 300 Włochami uwolnił od oblężenia miasto Fossau, które było oblegane od 10,000 Niemców. Późniéj postanowił ojczyznę swą Korsykę wydrzeć Genueńczykom i pod zwierzchnictwo Francyi oddać. Przez rok walczył zacięcie z wrogami Korsyki i zmusił ich nareszcie do opuszczenia wyspy. Wkrótce potém jednakowoż od sił przemagających oskrzydlony przystał na rozmowę z wrogiem, w któréj się miał z nim o zawarcie pokoju ułożyć. Lecz rozmowa ta była tylko łapką na niego zastawioną. Mimo przyrzeczonego sobie bezpieczeństwa został Sampietro do cytadelli w Bastyi zaprowadzony. Nienawiść jego ku Genueńczykom tak bardzo się wzmogła, iżby był bez wątpienia własnego ojca zabił, jeżeliby ten niebył dzielił jego nienawiści.

Henryk II. nie bez trudności wyrobił uwolnienie Sampietra, który się potém z najpiękniejszą i najbogatszą dziedziczką Korsyki, Vaniną Ornano ożenił, która z dumą rękę walecznego wojownika przyjęła.

Sampietro opuścił Korsykę, lecz wkrótce potém dowiedział się, że senat Genueński żałuje, że go na wolność wypuścił, i postanowił cenę na jego głowę. Jeżeliby jeszcze czém było można nienawiść ku Genueńczykom powiększyć, to z pewnością tém. Sampietro zgromadził małe wojsko, aby uwolnić ojczyznę do uciskających wrogów, lecz zarazem dowiedział się że żona jego, która się w Marsylii znajdowała, wszelkich sposobów używa, aby wyrobić u Senatu Genueńskiego ułaskawienie męża. Wiadomość o tém otrzymał Sampietro w Konstantynopolu i jak dalece go poruszyła, można z tego poznać, że już w dwa tygodnie po tém, był w mieszkaniu Vaniny w Marsylii. Vanina z radością męża spostrzegła i rzuciła się w jego objęcia, lecz on ją odepchnął od siebie i rzucił na nią wzrokiem, przed którym zadrzała. „Widzisz wygnańca przed sobą," mówił, „nieszczęśliwego, na którego głowę cenę postanowiono. Wiesz też dla czego." „Ja niejestem już nieszczęśliwa, gdyś ty przy mnie."

„Ty układasz się z wrogami o moją hańbę".

„O twoją hańbę? skąd?"

„Tak jest; tyś doniosła Genueńczykom, że Sampietro się poniża i o ułaskawienie prosi".

„A jeżeli się Genua da poruszyć?"

„Prawda," rzekł Sampietro z goryczą, „Vanina ma tak wiele znaczących przyjaciół; rodzina Ornano tak blisko pokrewniona z rodziną Doria; tak rodzina Ornano mogłaby łatwo rozbroić Senat genueński i żądać od niego ułaskawienia Sampietra!"

„A ja już mam ułaskawienie dla ciebie!"

„Co? ty je masz?" zawołał Sampietro blady jak śmierć. „A więc moja hańba już podpisana i potwierdzona, a ty, żona Sampietra, rękę Doży prowadziłaś?"

Murzyn Otello jest tylko podaniem weneckiém, Korsykanin Sampietro tymczasem prawdziwém zdarzeniem. Zapowiedział żonie swojéj, że umierać musi, choć ją z taką namiętnością kochał. Tysiąc razy byłby oddał swe życie, gdyby był mógł życie swéj żony ocalić, lecz splamiła jak mniemał jego miłość ojczyzny, jego cześć, dla tego powinna była umrzeć. De Fosque, który wiernie historyę tego podziwienia godnego człowieka opisał, mówi, że Sampietro żony swéj ręce uchwycił, że przed nią ukląkł, jakby ją chciał ubóstwiać, że nawet ręce jéj gorącemi łzami oblewał i słowami najgorętszéj miłości do niéj przemawiał. Vanina myślała, że się zmiękczył i schyliwszy się do niego pocałowała go w czoło. Lecz Sampietro pokonał uczucie miłości, porwał nagle chustkę, którą Vanina na szyi miała, i nią ją udusił.

Radzono młodemu kapitanowi artyleryi, aby jeżeliby chciał na tle tego okropnego zdarzenia tragedyą osnuć, dał Sampietrowi jakiego rywala Genueńczyka, ponieważby bohater dramatu tém interessowniejszym się wydał, czując się zdeptanym jako małżonek i syn ojczyzny, jego zemsta tém gwałtowniejsząby była.

„Nie, odpowiedział młody kapitan artyleryi, wtedyby był Sampietro pospolitym zupełnie człowiekiem. Na nim mamy przykład jak gwałtownie w sercu Korsykanina nienawiść wrogów, a miłość ojczyzny goreje.

Kapitanem artyleryi był, jak to już czytelnik zapewne odgadł, młody Bonaparte, który istotnie przez długi czas miał zamiar zrobić Sampietra bohaterem tragedyi, jednakowoż do wykonania tego planu przeszkodziły mu inne literackie prace. Wiadomo, że niedawno Fryderyk Hahn napisał tragedyą „Sampietro"; czy w duchu Bonapartego? Niech ci osądzą, którzy dramat niemieckiego poety znają.

ROZMAITOŚCI.

— Wspomnieliśmy niedawno, że emancypacya kobiet sporym postępuje krokiem i przywiedliśmy na przykład, iż trzy kobiety w Ameryce zostały wybrane na sędziów pokoju; w Marsylii tymczasem w tych dniach odbył się pojedynek według ścisłych przepisów między dwiema pannami — o kochanka. Każda z nich miała sekundanta z przyjaciółek swych; obie szpadami dzielnie władały i już krew płynęła, kiedy dalszemu rozlewowi przeszkodziła policya i zaprowadziła rywalki na ratusz.

— Jeżeli Anglią nazwiemy rajem koni, Francyą kobiet, to Hiszpania jest rajem dziennikarzy. Tam ich osypują orderami i urzędami. Jeżeli zmiana nastąpi ministrów w Hiszpanii, a co się bardzo często zdarza, natenczas kilka tek ministrowskich, dostaje się dziennikarzom. Nie masz przeto w Madrycie męża stanu, którýby niebył dziennikarzem, redaktorem, korrespondentem, lub właścicielem przynajmniéj jakiéj gazety: Lopez, Gonzalez, Bravo, Caballero, Martinez de la Rosa, Ayllon, Fuente, Andres, Iznardi, Rey Garcia, i wielu innych rozpoczęło swój zawód od gazet. Madryccy korrespondenci gazet prowincyalnych są wyłącznie deputowani. Jeżeli zestąpi który z godności wysokiego urzędnika, a nie pomyślał o sobie, wraca nazad na stanowisko dziennikarza. Coś podobnego znajdziemy i u Francuzów. Wielu członków izby deputowanych, rady stanu i t. d. było dziennikarzami. I Thiers tak swój zawód rozpoczął.

— Przy mieście Rennes spadł niedawno z powietrza aërolit. Jeden astronom wyrachował, że kamień ten, jeżeli pochodzi z okolic gwiazd, 70,000 lat był w podróży, zanim do Rennes zawitał.

MODY.

Paryż, dnia 24. Czerwca 1845.

Moda w ostatnich dniach żąda koniecznie, żeby z miasta wyjechać do wód lub na wieś, ztąd wszystkie ubiory są stósownemi do tego rodzaju życia.

W podróży i na wsi od rana wdziewają elegantki na siebie szlafroczek z cienkiego dreliszku w kratki, bez żadnéj fałdy, wcięty do kibici, z przodu na guziki zapinany, rękawy szerokie. Do tego batystowy dobrze zkrochmalony kołnierzyk i piaskowego koloru bóciki, uzupełniają ubiór.

Szlafroczki z przodu otwierane z białego batystu na batystowéj sukni bardzo noszą. Na pierwszy rzut oka zdaje się to skromnym ubiorem, przypatrzywszy się jednak bliżéj, widzi się dopiero całe bogactwo w hafcie, który go okola i w koronkach, któremi gęsto obszywają stanik i rękawy.

Śliczna jest także suknia z wełnianego muślinu na tle bladém w paseczki zielone, niebieskie, lub popielate. Stanik u niéj marszczony do góry, rękawy do łokcia wązkie, te ztąd rozszerzają się, a u dłoni znów zupełnie wązkie.

We Francyi jak wszystko tak i modę opanowali episierowie, to jest ludzie uznający godność człowieka li z majątku. Nic dziwnego, jeżeli się więc sadzą na wszelkiego rodzaju zbytki, kiedy żona w kaszemirze i brylantach, a mąż w pięknym koczu, z góry patrzą na wszystkich bez szali i pojazdów, choć tém często uśmiech na usta drugich wywołują. Ci ubierają swoje dzieci z całym zbytkiem, aby nim wybijały wśród innych na przechadzce w ogrodzie Tuileryów. Małym dziewczynkom dają suknie z jedwabnego muślinu, z włoskiéj kitajki lub bogato haftowanego tarlatanu, krótkie rękawki i długie białe rękawiczki. Kapelusiki dają im z włoskiéj słomy, kształtu pasterek szwajcarskich, lub z kończatemi dnami jak parasole chińskie.

Chłopczykom dają kurteczki, albo bluzy, które właściwie nie są bluzami: tak ładne i tak rozmaitym krojem je robią. Wiele takich ubiorów widzieliśmy z nankinu, wyszywanych sznureczkami takiego samego koloru, lub z kitajki szkockiéj, obszywanych niekręconemi frandzlami. Chłopczykom do pięciu lat nie dają pończoch, obszywają tylko majteczki szeroką koronką.

Meble na wsi przekładają żelazne nad inne, zasłony do okien i drzwi z jedwabnego muślinu, malowanego w różnobarwne kwiaty, a tak nazwane algierskie kołdry zastępują miejsce kobierców.

Ubiory ślubne zawsze kosztowne.

Trzy szerokie wolanty u sukni; woal miewają z prawdziwych koronek. Do wieńców z liści pomarańczowych mięszają białe róże.

Objaśnienie ryciny.

1) Frak z pół-sukna — westka z piki w paseczki — pantalony nankinowe.
2) Kapelusz krepowy — suknie z muślinu jedwabnego.
3) Kapelusz ryżowy — suknia z kitajki szkockiéj.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*